Rok później...

Równo rok temu Polacy tłumem wyszli na ulice swojego Wilna, protestując przeciwko nowej ustawie oświatowej. Towarzyszyli nam Rodacy z Korony a także Rosjanie i Białorusini. To był nasz protest i przygotowanie do walki o swoje. Walczyliśmy w czasie wyborów jesienią zeszłego roku. Z jakim skutkiem?

Wszyscy pamiętamy te chwile. Jedność, solidarność, siła naszego głosu... można było wówczas być optymistą, że tym razem w wyborach się uda, że teraz gdy trzeba walczyć o sprawy najważniejsze dla naszej narodowej tożsamości, odłożymy na bok spory, różnice w poglądach na inne kwestie i wszyscy zagłosujemy na polską partię. **Przywódcy partyjni i organizacyjni upewniali nas, że będą dążyć do likwidacji wszystkich szkodliwych zapisów nowej ustawy.** Jan Mincewicz cytował wówczas Rotę "*nie damy by nas zgnębił wróg*". Renata Cytacka mówiła: „*To rodzic wie, co dla jego dziecka jest najlepsze. Chcą nas zapędzać pałkami do raju!*" Domagano się wówczas nie tylko wycofania ujednolicenia matury z języka litewskiego, jako niesprawiedliwego wobec uczniów, którzy w polskich szkołach uczą się języka litewskiego według innego programu (ojczystym jest dla nas język polski). Głośno sprzeciwiano się też wprowadzeniu języka litewskiego do nauczania geografii i historii a także systemowi "optymalizacji" jaki grozi zamykaniem szkół polskich tam gdzie istnieją szkoły litewskie. Padł nawet postulat przywrócenia języka polskiego jako obowiązkowego na maturze w naszych szkołach, czyli naprawienia szkody z 1998 r. Potem były wybory, na które też tłumnie poszliśmy i zagłosowaliśmy jak trzeba.

Gdy Akcja Wyborcza Polaków na Litwie przystępowała do rządowej koalicji, w grudniu zeszłego roku, zgodziła się na podpisanie programu rządowego w którym zapisano tylko rozważenie możliwości wydłużenia okresu przejściowego w sprawie ujednoliconego egzaminu maturalnego z języka litewskiego. Zaspokoiła również swoje ministerialne potrzeby przez uzyskanie ministerstwa energetyki, ministerstwo oświaty pozostawiając Partii Pracy. Jeszcze w styczniu wiceminister oświaty i nauki z ramienia AWPL Edyta Tamošiūnaitė powiedziała: *„w tym roku nie będziemy już wprowadzali kluczowych zmian. Byłoby to niesprawiedliwe wobec uczniów, którzy już szykują się do matury według określonego programu. Co prawda, zamierzamy rozpatrzyć kryteria oceny na egzaminie i jeszcze je zmienić, tak by były jak najbardziej dostosowane do uczniów szkół nielitewskich"*. Mówiła wówczas o powrocie do sprawy egzaminów w przyszłym roku szkolnym.

Potem było radykalne wystąpienie V z koalicji rządzącej, jeśli litewskie władze nie odstąpią od ujednoliconego egzaminu. Jednak niedługo potem ogłosił, że polska partia w koalicji zostaje i uznał za swój sukces **lutowe rozporządzenie ministra oświaty stanowiące, że maturzyści nie-Litwini będą musieli napisać na egzaminie**

państwowym wypracowanie o objętości 400 słów, a nie 500 jak w przypadku maturzystów litewskich (250 słów zamiast 400 na egzaminie szkolnym). Warto dodać, że ta decyzja ministra Dainiusa Pavalkisa nie różni się bardzo od tego co proponował niesławny inicjator nowej ustawy Gintaras Steponavičius, próbujący jesienią naprawić swoją fatalną ustawę.

Po ponad trzech miesiącach od ustanowienia nowego rządu czas już na pierwsze oceny. **Niestety jak na razie wynik słaby. Ustawa trwa niemal niezmieniona.** Zagrożenie dla polskich szkół i uczniów pozostaje. A co w innych ważnych dla nas sprawach? Pojawiły się w końcu postulaty w sprawie nazwisk. Jest też mowa o używaniu języka polskiego w sferze publicznej. Ten drugi postulat łączy się z forsowaniem nowej ustawy o mniejszościach narodowych, poprzednia wygasła na początku 2010. Pytanie tylko czy to wystarczający postulat. Jeszcze stara ustawa pozwała na oficjalne używanie języka polskiego w rejonach zamieszkanych przez Polaków... tylko że ustawa o języku państwowym miała zapisy wprost przeciwne, ostatecznie Sąd Konstytucyjny przyznał wyższość właśnie tej drugiej ustawie, co jest już częścią litewskiego porządku prawnego.

Oczywiście krytykując brak postępu musimy przyznać, że pozycja polityczna polskiej partii jest trudna. Frakcja AWPL nie jest niezbędna do tworzenia koalicji. Wiadomo, że cała litewska elita polityczna jest niechętna Polakom, tak jak jest im niechętna większość Litwinów a z nimi jako swoimi wyborcami muszą liczyć się litewskie partie. Rozumiemy więc, że **Waldemar Tomaszewski swoją polityczną grę musi toczyć w zaciszu gabinetów** o czym pisałem zaraz po utworzeniu rządu. **Nawet jednak jeśli tak jest, to czym cichsze są działania polskiej partii tym głośniejszy musi być głos polskich organizacji społecznych i nas wszystkich, tak aby był słyszalny i dla Litwinów, i dla polityków AWPL.** Tak aby słyszeli dobrze czego żądamy i czego nie ustąpimy. Niestety teraz tego radykalnego głosu brakuje i dlatego słabsza jest też pozycja W. Tomaszewskiego w jego gabinetowych rozgrywkach. Łączy się to z tym, że zarówno przewodniczący ZPL M.Mackiewicz oraz przewodniczący Macierzy Szkolnej J.Kwiatkowski są dziś posłami w parlamencie a lider Forum Rodziców Uczniów Szkół Polskich Renata Cytacka wiceministrem energetyki. Dziś grają w jednej partyjnej drużynie na zasadach takich jak i Tomaszewski. Jedno oświadczenie Forum Rodziców z początku lutego to za mało. Być może czas już na nową manifestację? Na pewno czas na twarde, głośne przypomnienie wszystkich postulatów przez nasze organizacje społeczne.

Jan Tarnawa

Polacy na Litwie są bardzo specyficznie uwarunkowaną przez historię grupą narodowościową. Nie mniej wyjątkowe jest też ich położenie w granicach państwa, w którym obecnie żyją. **Samo ich istnienie jako świadomych swych polskiej narodowości obywateli stoi już w kolizji z państwową i narodową ideologią litewską.**

Przez lata bowiem nie było wątpliwości co do tego, że Litwa jest po prostu jednym z regionów polskich, co uwydatnił w swojej twórczości na przykład Adam Mickiewicz, choć nie tylko on. Wielkie Księstwo Litewskie tak właśnie było traktowane przez Polaków, jakie więc było zdziwienie, gdy nagle grupa bałtyckich separatystów ogłosiła koncepcję „etnicznej" Litwy, pretendując na terytoria „etnicznie litewskie", czyli w większości takie, gdzie zamieszkiwali Polacy. Zamieszkałej przez Polaków Kowieńszczyzny nie udało się ochronić przed depolonizacją ze strony litewskiego reżimu, Wileńszczyzna uniknęła tego losu dzięki włączeniu tego obszaru – zgodnie z wolą jego ludności – bezpośrednio do Rzeczypospolitej Polskiej, a wcześniej dzięki śmiałej akcji generała Żeligowskiego. Tego Polakom jako grupie narodowościowej nie można wybaczyć, „okupacja Wilna przez Polskę" jako litewski mit państwowotwórczy nie ma sensu przy istnieniu tutaj autochtonicznej ludności polskiej, stąd dążenie do zmiany stosunków etnicznych na Wilenszczyźnie.

Ukradziona przez sowietów ziemia nie jest zwracana
prawowitym polskim właścicielom, za to jest
oddawana Litwinom z głębi małej republiki na

zasadzie... „przenoszenia" ziemi. Nie da się tego nazwać inaczej jak kolonizacja. Wielokrotne próby zamachu na sieć polskich szkół również świadczą o intencjach elit litewskich – choć szkoły te powołano jeszcze w latach ’50 XX wieku i to często bazując na strukturach powstałych za czasów „polskiej okupacji Wileńszczyzny”. O oryginalnym zapisie nazwisk w dokumentach po polsku czy dwujęzycznych nazwach ulic, zgodnie ze standardami międzynarodowymi, nawet nie ma co marzyć. Mała republika potrafi włożyć niewspółmiernie duży wysiłek w wyrugowanie dwujęzycznych (czyli również litewskich) nazw na prywatnych [!] sklepach czy środkach transportu, jednocześnie lekceważąc realne problemy społeczne jak masowa emigracja, alkoholizm, samobójstwa czy też wszechobecna korupcja. Czego się jednak spodziewać po „litewskim karle” (określenie z polskiej publicystki międzywojennej – ze wszech miar słuszne), skoro kiedyś potrafił zaryzykować pakt z diabłem – sowietami, byleby „odzyskać” Wilno.

W takim właśnie państwie absurdu żyją miejscowi Polacy, często muszący dostosować się do rzeczywistości i iść z nią na kompromis. To niestety przetrąca kark miejscowej polskości, której grozi, iż nie będzie iść za nią realna treść. Nawet w czasach sowieckich nie było takiego regresu. **Kiedyś, gdy należało odrodzić polskość po zaborach, zwycięskim i słusznym hasłem okazało się „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie” – dziś interpretacja tej złotej zasady musi brzmieć – „Jeden naród ponad granicami”.** Polacy na Wileńszczyźnie oczekują od swojej historycznej Macierzy, że zadba o nasz dostęp do polskich mediów i kultury popularnej, aby wyprzeć wszechobecną pop-kulturę rosyjską. My i bez niech znamy rosyjski, tak jak nikt tutaj nie ma problemu z litewskim. Postulaty „integracji z litewskim społeczeństwem” są z gruntu fałszywe, bo na Wileńszczyźnie jesteśmy u siebie i nie mamy z językiem państwowym i lojalnością (mimo wszystko) żadnych problemów. Skoro więc mówimy o „integracji”, to przebiegać ona powinna siłą rzeczy w dwie strony – żaden Litwin jednak nie skala się tutaj nauką polskiego.

I od tego, czy autor stwierdzenia o integracji będący przedstawicielem władz centralnych naprawdę miał na myśli integrację, czy też może po prostu chodziło mu o asymilację, zależy nasze położenie na Wileńszczyźnie jako równoprawnej gałęzi narodu polskiego. I choć wszystko wskazuje na to, że chodzi o powtórzenie scenariusza z przedwojennej Kowieńszczyzny, to Macierz może nam pomóc. Chyba że na kimś nie robi wrażenia, że Polacy na Litwie mogą bezpowrotnie odejść do histori

Jakiś czas temu wraz z Wileńską Młodzieżą Patriotyczną, kołem ZPL-u, postanowiliśmy uczcić w godny sposób 150. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego. Było to zadanie niełatwe – jak bowiem uhonorować Bohaterów i pamięć o Nich, by obchody tej ważnej rocznicy miały odpowiednią rangę i wymiar? Jak pokazać, że żywe wspomnienie bohaterskiego czynu powstańczego jest ze swoim przesłaniem wciąż aktualne? Jak nie popaść w banał i jednocześnie sprostać zadaniu, by upamiętnienie było „na czasie”? Postanowiliśmy więc, że najlepiej przypomnieć o naszej historii muzyką. Tak zrodził się pomysł zorganizowania koncertu polskiej muzyki patriotycznej w Wilnie. Ogrom pracy organizacyjnej i włożonego w koncert wysiłku opłacił się, bo całość wypadła znakomicie.

Na obchody rocznicy wybuchu powstania przyjechało bardzo wielu ludzi z Korony, co niezmiernie nas ucieszyło. **Przez wiele lat polskie życie na Wileńszczyźnie toczyło się jakby w oderwaniu od pozostałej części narodu polskiego, którego jesteśmy równoprawną częścią składową.** W niedzielę okazało się, że jest bardzo wielu naszych rówieśników, których obchodzi los Polaków na Wileńszczyźnie i którym polskość tej ziemi jest równie droga jak nam. Od razu znaleźliśmy wspólny język z rodakami z Macierzy, którzy byli niezwykle zainteresowani naszymi polskimi sprawami i naszym codziennym życiem w swojej małej ojczyźnie. Mimo dzielącej nas granicy, jak i trwałego jak na razie oderwania od Polski prawie 70 lat temu, nie było wielkich różnic między wilniukami a koroniarzami. To

niesamowite, że potrzeba było tak niewiele, by przekonać się, jak potrafimy być sobie mimo wszystko bliscy.

Początkowo zwiedzaliśmy Rossę, koroniarze byli pod wyraźnym wrażeniem nekropolii, na której spoczywa wielu znakomitych Polaków. Nie trzeba było w zasadzie nic mówić, bo każdy mógł sam przyjrzeć się nagrobkom Lelewela czy Syrokomli, których nazwiska każdy przecież zna. Bohaterom poległym za niepodległość Polski, w tym i Wilna, pokłoniliśmy się na części wojskowej, gdzie rzędy mogił żołnierzy poległych w latach 1920, 1939 i 1944 świadczą o heroicznych dziejach ziemi wileńskiej. Przed grobem Matki i Serca Syna przemówienia wygłosili Robert Winnicki z organizacji „Młodzież Wszechpolska" i wilniuk Rajmund Klonowski. Ten ostatni podkreślał, że ziemia wileńska zawsze była skrwawiona w bojach o niepodległości Polski i dlatego tego dnia nie oceniamy sensu wybuchu powstania, lecz oddajemy hołd tym, którzy złożyli ofiarę ze swojego życia. Przypomniał też słowa Romualda Traugutta o tym, że powstanie może i nie miało sensu, ale był mus walki z zaborcą. Na końcu uroczyście odśpiewaliśmy „Rotę" i ruszyliśmy zwiedzać miasto. Nie było chyba osoby wśród naszych gości – a było ich ponad 150 z całej Polski (nie licząc nas) – na której wrażenia nie wywarłyby zabytki Wilna. Dwie panie przewodniczki opowiadały historię najważniejszych obiektów. Następnie udaliśmy się na Mszę w kościele na Łukiszkach, a potem na koncert.
Zjednoczony Ursynów poprzedził występ raperów z Karat Napalm Grupa, najbardziej znanej z piosenki o ofiarach ludobójstwa Polaków z rąk Ukraińskiej Powstańczej Armii. W międzyczasie dało się zaobserwować w holu głównym Domu Kultury Polskiej ożywione rozmowy młodzieży. Nam wilniukom robiło się szczególnie miło, gdy słyszeliśmy głosy wsparcia od Koroniarzy i obietnice rychłych odwiedzin w przyszłości. Po wielu latach bycia na marginesie narodu polskiego wreszcie poczuliśmy, że znajdujemy się w centrum zainteresowania, że znajdujemy się na powrót w głównym nurcie polskości. **Bo choć na nasze ziemie mówi się zwyczajowo „kresy", to przecież tu biją polskie serca tak samo mocno jak w obecnych granicach państwowości polskiej.** A w końcu właśnie na Rossie w Wilnie spoczywa jedno z tych serc, które dla Polski biły najmocniej.

Występ Zjednoczonego Ursynowa z rapującym Dżambodżetem wywołał wiele pozytywnych emocji. Pod sceną i na scenie było szczególnie gorąco. Okazało się, że raper zna doskonale historię polskich zmagań niepodległościowych na Wileńszczyźnie, wspominał majora Łupaszkę i 5. Wileńską Brygadę AK. Rockowego zespołu Irydion nie udało mi się wysłuchać. Z koroniarzami rozmawiało się tak sympatycznie, że czas zleciał bardzo szybko i przepuściłem tę część koncertu. Jak opowiedział mi później kolega, występ był na bardzo wysokim poziomie, a muzycy oddali hołd Żołnierzom Wyklętym, czyli tym, którzy nie pogodzili się z komunistycznym zniewoleniem Polski i nie złożyli broni po 1944.

Po koncercie przeszliśmy przez Wilno do jednego z lokali na ulicy Niemieckiej. Niestety goście z Korony nie mieli zbyt wiele czasu, ale niewątpliwie wzrosły wśród nas apetyty na następne wspólne spotkanie. Tym bardziej wspólna integracja utwierdziła nas w przekonaniu, że powoli kończy się czas bycia „na kresie", gdzieś na boku polskości, w bezpiecznej odległości od rodaków z Macierzy. Wspólna zabawa na koncercie i wspólne obchody rocznicy wybuchu powstania dały nam wszystkim wiele do myślenia. **Okazało się przede wszystkim, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. I z tą nauką na przyszłość oczekujemy kolejnego spotkania z rówieśnikami z Korony.**

Wilniuk

Niemal od początku działalności naszego bloga towarzyszy nam symbol Polski Walczącej. Od czasu do czasu słyszymy pytanie: dlaczego? Jest wiele powodów.

Pierwszy powód – spontaniczność. Gdy wiosną tego roku myśleliśmy nad stworzeniem tego bloga, jeden z nas ujrzał w

przejściu do galerii handlowej Panorama na Zwierzyńcu słynny już malunek znaku „Polski Walczącej" i Białego Orła podpisany przez „Wileńską Organizację Narodową" (niestety już zamalowany). **Ten widok był dla nas ostatecznym impulsem do tego aby wziąć się do roboty.** Udowadniał, że w Wilnie ciągle są młodzi ludzie dla których polskość, zagrożona przez działania tutejszego dyskryminacyjnego reżimu, jest istotną treścią życia, jest czymś dla czego warto podejmować wysiłek. Wiedzieliśmy więc już, że chociażby ta grupka ludzi co te napisy namalowała, z chęcią przeczyta to co chcemy napisać. Bez długiego namysłu przybraliśmy więc ów malunek jako symbol naszej strony na Facebook, aby od razu wysłać komunikat ludziom z owej „Wileńskiej Organizacji Narodowej", że nie są sami. Jak się okazało było to dobre posunięcie. Wbrew narzekaniom niektórych, w naszym mieście (zresztą i poza nim) znalazła się grupa młodzieży, która wsparła nasz blog, stając się zresztą grupą gotową do działań również w innych formach.

Spontaniczność jest dobra, ale refleksja jeszcze lepsza. Dlaczego zatem symbol „Polski Walczącej" zadomowił się na tak długo i wciąż jest na naszej stronie? **Drugim znacznie ważniejszym powodem jest chęć uczczenia w ten sposób tych wszystkich, którzy w strasznym czasie wojny światowej pod tym znakiem walczyli za naród polski, także za polskość Wileńszczyzny**. Nasza ziemia była terenem oporu zbrojnego przeciw obu okupantom – sowieckiemu i niemieckiemu (oraz ich litewskim kolaborantom). Oporu o skali większej niż w wielu innych częściach okupowanej ojczyzny. To właśnie na historycznej Wileńszczyźnie funkcjonowały najliczniejsze, długotrwałe, umundurowane oddziały partyzanckie Armii Krajowej, które były zdolne do ustanowienia swojej kontroli nad całymi obszarami naszej krainy oraz obrony tutejszej ludności przed zbrodniczymi zamierzeniami Gestapo, Saugumy, SS i šaulisów, a w końcu do podjęcia wysiłku wyzwolenia Wilna w lipcu 1944 r.

Żołnierze Armii Krajowej to prawdziwi bohaterowie tej ziemi – byli torturowani i mordowani przez władzę sowiecką. Jednak i po 1990 roku nie doczekali się spokoju i należnego szacunku. Jeszcze w 1992 roku litewscy prokuratorzy przesłuchiwali dawnych żołnierzy AK pod zarzutem zagrożenia „dla integralności terytorialnej Litwy"! Władze litewskie do 1995 r. nie pozwalały weteranom AK stworzyć własnej organizacji kombatanckiej. Na rejestrację zgodziły się dopiero pod warunkiem, że w nazwie tej organizacji nie pojawi się nazwa „Armia Krajowa". **Od 22 lat nasi bohaterowie są nieustannie znieważani.** Kłamliwe, cyniczne słowa o „okupantach" i „mordercach" słyszymy ciągle z ust litewskich polityków, dziennikarzy i pseudohistoryków. Tego uczą litewscy nauczyciele w litewskich szkołach. Takie kłamstwo jest cynicznie zapisane w muzeum w Ponarach – miejscu litewsko-niemieckiej zbrodni na Żydach, Polakach i Rosjanach. Zresztą my znamy źródła tych kłamstw – to litewskie

kompleksy. Bo Armia Krajowa walczyła z obydwoma zbrodniczymi totalitaryzmami a Litwini kolaborowali z jednym z nich – z hitlerowskim. **Użycie znaku „Polski Walczącej" to nasz hołd dla poległych i ciągle żyjących w Wilnie żołnierzy Armii Krajowej a także nasz sprzeciw wobec tego jak są traktowani przez Litwinów.**

Ostatecznie znak „Polski Walczącej" jest tak wymowny, że musieliśmy na niego zwrócić uwagę. W sposób naturalny przemówił do nas. Żyjemy przecież w warunkach systemu dyskryminacyjnego, który różnymi metodami, poprzez szkoły, poprzez urzędy, poprzez sądy dąży do wykorzenienia polskości z Wileńszczyzny. **Znak zawierający w sobie kotwicę jest doskonałym symbolem zakorzeniania polskości tutaj i tego że nie pozwolimy jej stąd wyrywać. Tak jak kotwica trzyma statek w czasie sztormu na miejscu, tak my chcemy dołożyć wszelkich działań aby polskość przetrwała tutaj.** Chcemy walczyć.

Walka ma znacznie szersze znaczenie niż tylko określenie zbrojnego starcia. **Walka to każde działanie w którym człowiek ponosi wyrzeczenia i koszty na rzecz jakiejś sprawy działając przeciw nieprzyjaznym warunkom zewnętrznym, w celu zmiany tych warunków.** Walką jest gdy ktoś z nas rezygnuje z dodatkowej godziny snu, rozrywki, poświęcając swój czas dla działalności społecznej. To może być udział na przykład w organizacji zebrania, demonstracji, koncertu, turnieju piłkarskiego czy jakimkolwiek innym zbiorowym działaniu o charakterze związanym z podkreślaniem polskości Kraju Wileńskiego. Takim działaniem będzie także przyklejenie na ulicach miasta pewnej liczby patriotycznych, narodowych naklejek, czy nawet przeczytanie książki o naszej historii, po to aby potem podzielić się tą wiedzą z kolegami aby nakłonić ich do refleksji nad własną tożsamością.
Ostatecznie więc najpierw trzeba stoczyć walkę z samym sobą, ze swoimi wadami: z obojętnością, egoizmem, lenistwem, przyzwyczajeniem do wygody, strachem. Z obawą przed tym "co powiedzą inni". Przezwyciężając je, każdego dnia, można dopiero rozpocząć wspólnie z innymi walkę o cele społeczne. Taką walkę chcemy toczyć i tak rozumiemy „Polaka Walczącego".

Nowowilejski

Wbrew mitologii litewskich nacjonalistów, u progu XX wieku Wileńszczyzna była zamieszkana w większości przez polską ludność. Gdy z chaosu końca I wojny światowej wyłaniał sie nowy porządek, ludność ta samodzielnie, z własnej woli zaczęła organizować u siebie zbrojny i cywilny ruch na rzecz przystąpienia do odradzającej się Rzeczpospolitej Polskiej.

„Już od września 1917 r., korzystając z niemieckiego przyzwolenia, działał w Wilnie litewski parlament (Taryba), który w październiku 1918 r. powołał rząd litewski, nastawionego proniemiecko Augustinsa Valdemarasa. Rząd ten przebywał na północy, w Kownie, zamierzał jednak objąć swym wpływem także Wileńszczyznę, którą uważano za pradawne dziedzictwo państwa litewskiego, a Wilno za jego tradycyjną stolicę.

Do przejęcia władzy nad Wilnem i Wileńszczyzną przygotowywał się inny rząd litewski – Tymczasowy Rząd Robotniczo-Chłopski Vincasa Mickiewičiusa-Kapsukasa, powstały na rozkaz płynący z rewolucyjnej Rosji, a tworzony przez bolszewików, dążących do powołania kolejnej republiki sowieckiej. Ten rząd i ta republika, o zmieniających się zresztą nazwach i granicach miała za sobą siłę Robotniczo-Chłopskiej Czerwonej Armii (RKKA), która miała zanieść „płomień rewolucji" także na zachód, w tym przede wszystkim do Niemiec.

Obok tych dwóch, całkowicie odrębnych i wrogich sobie, lecz litewskich ośrodków dyspozycji, tej samej

jesieni 1918 r. zaczęły powstawać ośrodki polskie, opierające się na rozrzuconych na terenie Wileńszczyzny, Nowogródczyzny i Mińszczyzny środowiskach polskich. ***Owe punkty polskich inicjatyw powstały w Mińsku, Szczuczynie, Lidzie, a także w Wilnie, przy czym to ostatnie bardzo szybko stało się niekwestionowanym centrum owego ruchu.*** *Celem jego było wytworzenie na tych obszarach lokalnej siły zbrojnej, która, powstając tutaj pod nazwą „samoobrony", miała dążyć do zajęcia tych ziem i utrzymania ich dla Polski.*

Dogadywanie się tych ośrodków doprowadziło do wykrystalizowania się jednej Samoobrony Litwy i Białorusi ***z centrum w Wilnie****, sięgającej Mińska i Kowna. Skupiała ona miejscową młodzież i Polaków — żołnierzy i oficerów z armii rosyjskiej oraz I Korpusu Polskiego Dowbora-Muśnickiego. Pod koniec 1918 r. było w jej oddziałach kilka tysięcy ludzi, co było sporym osiągnięciem, zważywszy na rozproszenie polskich siedzib oraz zmęczenie czterema latami krwawej wojny.*

W Wilnie na czele oddziałów Samoobrony *na początku grudnia 1918 r.* ***stanął generał z armii rosyjskiej Władysław Wejtko****, jego szefem sztabu został przysłany z Warszawy kpt. Zygmunt Klinger, a inspektorem i dowódcą piechoty kpt. dr Stanisław Bobiatyński. Utworzenia oddziałów jazdy podjęli się przybyli jesienią 1918 r. do Wilna dwaj oficerowie kawalerii: Władysław i Jerzy Dąmbrowscy. [...]*

generał Władysław Wejtko (1859-1933)

20 grudnia 1918 r. opuścili Wilno i wyjechali za granicę: przewodniczący parlamentu litewskiego („Taryby") – Antoni Smetona i premier rządu Augustinas Voldemaras. *Nowy gabinet sformował 26 grudnia ludowiec Slezevicius, który rozpoczął negocjacje z Polakami w celu utworzenia wspólnego rządu. Rokowania te załamało* ***opuszczenie Wilna przez Niemców oraz ucieczka do Kowna rządu litewskiego.***

Na placu pozostali Polacy i tworzona przez nich od dwóch miesięcy Samoobrona, dowodzona tu przez gen. Władysław Wejtko. *Samoobrona ta, złożona głównie z piechoty, pod koniec grudnia 1918 r. podjęła walkę o miasto, czyszcząc Wilno z ostatnich oddziałów niemieckich oraz atakując znajdujące się w niektórych domach umocnione punkty oporu, zorganizowane przez komunistów, oczekujących wkroczenia oddziałów bolszewickich. W walkach tych wziął udział także Jerzy Dąmbrowski na czele kawalerii. [...]*

Na początku stycznia oddziały skautów, żołnierzy POW i kolejarzy wileńskich opanowały dworzec, do tego czasu utrzymywany jeszcze przez Niemców. ***Wilno było wolne.*** *Wolne na krótko, gdyż już 3 stycznia oddziały Armii Czerwonej pojawiły się na przedpolu Wilna.*

(Lech Wyszczelski, "Wilno 1919-1920", Warszawa 2008)

Red.

Akcja Wyborcza Polaków na Litwie poparła nowy litewski rząd stając się częścią koalicji rządzącej. Obsadziła w nim ministerstwo energetyki. Wiele polskich mediów zarówno w Kraju Wileńskim jak i w Koronie obwieściło sukces. Tymczasem za wcześnie by o tym mówić. AWPL dopiero zajmuje pozycje do walki. Warto przeanalizować czy są to dobre pozycje do ataku na dyskryminacyjny system stworzony przez poprzednie litewskie rządy.

Na wstępie trzeba podkreślić, że długo musieliśmy czekać na powstania nowego rządu. Prezydent zatwierdziła rząd w ostatnim możliwym konstytucyjnym terminie – 7 grudnia. Wcześniej Grybauskaitė próbowała podważyć wynik wyborów ze względu na ujawnione przypadki płacenia wyborcom za głosy.

Zarzuty te stawiano głównie Partii Pracy, która wygrała pierwszą turę wyborów (ostatecznie drugi wynik), prezydent kierowała więc swoje ataki głównie przeciw tej niej. Ze składu zaproponowanego przez Algirdas Butkevičiusa odrzuciła kandydatury posłanek Partii Pracy: Lorety Graužinienė i Virginii Baltraitienė. Pierwsza miała zająć Ministerstwo Opieki Socjalnej i Pracy, druga - Ministerstwo Oświaty. Prezydent nie zaakceptowała także kandydatury Kęstutisa Daukšysa na ministra kultury, w ostatniej chwili zastąpił go Šarūnasa Birutis.

Można uznać, że Grybauskaitė w ogóle starała się nie dopuścić do powstania koalicji rządzącej w takie formie w jakiej ostatecznie powstała. Wydaje się, że prezydent do końca dążyła do stworzenia wielkiej koalicji socjaldemokratów i konserwatystów. Rząd Kubiliusa i jego partia mogli przecież liczyć na życzliwość pani prezydent, która popierała główne kierunki polityki poprzedniego premiera. Także jeśli chodzi o kolejne dyskryminacyjne posunięcia wobec mniejszości narodowych. Dobrze pamiętamy, że Grybauskaitė chętnie podpisała w 2011 dyskryminacyjną ustawę oświatową, mimo naszych protestów. Można więc domyślać się, że fakt współtworzenia nowej koalicji przez AWPL oraz Partię Pracy (chętnie popieraną prze rosyjską mniejszość narodową), dodatkowo napędzał niechęć głowy państwa wobec planów Butkevičiusa. W przyszłości należy się więc spodziewać, że prezydent będzie przeciwstawiać się ewentualnym działaniom rządu na rzecz równouprawnienia polskiej wspólnoty narodowej.

Manewry prezydent się nie udały. Główna Komisja Wyborcza unieważniła bowiem wybory tylko w jednym okręgu jednomandatowym. Sąd Konstytucyjny, do którego prezydent wniosła skargę, doprowadził do unieważnienia wyborów jedynie w okręgu bimańsko-kupiskim.

13 grudnia Sejmas poparł rząd według propozycji Butkevičiusa. Za rządem głosowało 83 parlamentarzystów: socjaldemokratów, Partii Pracy, Porządku i Sprawiedliwości oraz Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Przeciwko głosowało 39 posłów: konserwatyści i liberałowie. Wstrzymało się 9 parlamentarzystów: przedstawiciele partii Droga Odwagi i mieszanej grupy parlamentarnej.

Tym samym powstał rząd w składzie: 7 ministrów reprezentujących partię LSDP premiera Butkevičiusa, Partia Pracy biznesmena Vikotra Uspaskicha objęła 4 ministerstwa, Prawo i Sprawiedliwość byłego prezydenta Rolandasa Paksasa dostało 2, a AWPL jedno ministerstwo. Poszczególni ministrowie to: Rimantas Šadžius (Partia Socjaldemokratyczna) – minister finansów, Birutė Vėsaitė (Partia Socjaldemokratyczna) – minister gospodarki, Juozas Olekas (Partia Socjaldemokratyczna) – minister obrony, Rimantas Sinkevičius (Partia Socjaldemokratyczna - minister komunikacji i transportu, Vytenis Povilas Andriukaitis (Partia Socjaldemokratyczna) – minister zdrowia, Juozas Bernatonis (Partia Socjaldemokratyczna) – minister sprawiedliwości, Linas Antanas Linkevičius (Partia Socjaldemokratyczna), Šarūnas Birutis (Partia Pracy) – minister kultury, Algimanta Pabedinskienė (Partia Pracy) – minister opieki społecznej i pracy, Dainius Pavalkis (Partia Pracy) – minister oświaty i nauki, Vigilijus Jukna (Partia Pracy) – minister rolnictwa, Dailis Alfonsas Barakauskas (Porządek i Sprawiedliwość) – minister spraw wewnętrznych, Valentinas Mazuronis (Porządek i Sprawiedliwość) – minister środowiska, Jarosław Niewierowicz (AWPL) – minister energetyki.

Kwestia polska

Butkevičius zapowiedział polepszenie relacji z Rzeczpospolitą, która za czasów Kubiliusa oceniła w końcu litewską politykę dyskryminacji tak jak należy i znacznie ochłodziła te relacje. „Nadamy nowy impet stosunkom z Polską" – zapisano w programie rządu. Nowy rząd chce stworzenia połączeń energetycznych z Polską. Chce również połączyć z Polską swoje systemy gazowe oraz współpracować przy poszukiwaniu i wydobyciu gazu łupkowego. Znów pojawiła się kwestia lepszego skomunikowania drogowego obu krajów, co mogłoby uczynić Litwę prawdziwym krajem tranzytowym i przynieść jej duże korzyści. Wszystkie te kwestie mała republika nie jest w stanie rozwiązać bez pomocy Polski. Czyżby nowy premier był pierwszym, który zrozumiał jak wielkie koszty polityczne i ekonomiczne niesie dla litewskiego państwa jego jawnie dyskryminacyjna polityka wobec polskiej wspólnoty na Wileńszczyźnie? – o czym nasz bloger pisał już kilka miesięcy temu.

Ministrem z ramienia AWPL został Jarosław Niewierowicz. Choć ma dopiero 36 lat jest prawdziwym fachowcem w swojej dziedzinie posiadającym już niemałe doświadczenie polityczne. Pierwszy minister polskiej narodowości w historii Litwy jest absolwentem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. W latach 1999-2001 był pracownikiem Citibank Polska. Pracował także w ambasadzie Republiki Litewskiej w Waszyngtonie w latach 2001-2004. Przez dwa lata 2006-2008 sprawował funkcję wiceministra spraw zagranicznych w rządzie Giediminasa Kirkilasa. Od 2008 roku był prezesem polsko-litewskiej spółki LitPol Link która działa na rzecz budowy mostu energetycznego między Polską i Litwą. Dodajmy, że Niewierowicz do tej pory nie był zaangażowany w działalność w żadnej z polskich organizacji społecznych. **Z pewnością posiada więc kompetencje do objęcia ministerstwa energetyki. Problemem nie jest jednak taka czy inna persona, ale sam fakt, że to jedyne ministerstwo jakie AWPL objęła.**

Oczywiście są i inne stanowiska. Leonard Talmont został przewodniczącym sejmasowego Komitetu Praw Człowieka, co cieszy, zaś Michał Mackiewicz został wiceszefem Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego. Kontrola nad działaniem służb specjalnych jest bardzo potrzebna skoro **Departament Bezpieczeństwa Publicznego** w swoim ostatnim raporcie, częściowo upublicznionym parę miesięcy temu, **uznał „dążenie do konsolidacji mniejszości narodowych" *za* działalność godną zwalczania i oskarżał mniejszości o współpracę z obcymi wywiadami**. Oprócz tego AWPL uzyskała stanowiska wiceministrów w resortach rolnictwa, łączności, kultury oświaty i nauki a także w ministerstwie energetyki. Jednak jak pokazują doświadczenia z poprzednich rządów, bez zgody i poparcia ze strony ministrów swoich resortów wiceministrowie nie mogą zdziałać na swoich urzędach zbyt wiele.

Znacznie ważniejsze jest stanowisko wiceprzewodniczącego parlamentu dla zasłużonego posła Jarosława Narkiewicza - może zagwarantować to, że projekty ustaw zgłaszane przez polską partię nie będą blokowane.

(fot.R. Danisevičius)

Gra Tomaszewskiego

AWPL odniosła historyczny sukces przekraczając próg wyborczy, dzięki naszemu wyborczemu buntowi - buntowi polskiej społeczności Kraju Wileńskiego domagającej się realizacji swoich praw narodowych. Nie ma żadnych wątpliwości, że do pójścia na głosowanie zmobilizowała nas masowo głównie kwestia obrony naszych praw do własnej tożsamości – do własnego języka, do własnej ziemi, do własnych szkół, do własnych nazwisk. Tomaszewski jeszcze w czasie kampanii wyborczej głośno twierdził że Polacy na Wileńszczyźnie nie muszą się z nikim integrować i wzywał do obalenia dyskryminacyjnej ustawy oświatowej. W czasie negocjacji powyborczych zarzekał się, że będzie walczył o ministerstwo oświaty oraz kultury jako priorytetowe z punktu widzenia mniejszości narodowej. Tymczasem po zawarciu koalicyjnego układu znacznie przycichł w tych sprawach. Posunął się nawet do stwierdzenia, że kwestia pisowni nazwisk „nie jest problemem politycznym". Przewodniczący AWPL skoncentrował się na kwestiach energetycznych (czego efektem stanowisko dla Niewierowicza) i tak lubianym przez siebie temacie państwowego wsparcia dla produkcji biopaliw. Nie można zaprzeczyć, że są to ważne zagadnienia, a rozwój produkcji biopaliw może mieć znaczenie dla gospodarczego ożywienia Wileńszczyzny, która jest rolniczym krajem. Jednak są inne priorytety! Tomaszewski jednak koncentruje się na innej sferze. Symbolem tego może być chociażby osoba pani Renaty Cytackiej – dawna bojowniczka o ratowanie polskich szkół, liderka ruchu protestu przeciw dyskryminacyjnej ustawie oświatowej, została wyznaczona wiceministrem energetyki właśnie.

Są dwa wytłumaczenia jego gry. Może po prostu Tomaszewski nie potrafił rozstrzygnąć tych negocjacji na korzyść i w zamian za stanowiska polityczne zgodził się na to co jest – czyli zawężenie samodzielnej inicjatywy partii do jednego ministerstwa i zaledwie asystowanie polityce rządu w innych sprawach. **Byłaby to bardzo zła sytuacja bo przecież nie po to głosowaliśmy na AWPL i nie po to nasi ojcowie stworzyli tę partię, by zajmowała się przede wszystkim energetyką.** Po ministrach populistycznej Partii Pracy, którzy objęli resorty oświaty i kultury, nie należy się spodziewać zbyt wiele. Jej szef Viktor Uspaskich, w przeprowadzonej zaraz po wyborach rozmowie z Wilnoteką, dał do zrozumienia, że kwestia kulturowych praw mniejszości narodowych nie ma dla niego zbyt dużego znaczenia. Zresztą trzeba przyznać, że Tomaszewski już szuka ścieżek

Może jednak być i tak, że szef AWPL okazał się tak dobrym negocjatorem, że kwestia naszych postulatów w sprawach narodowych, została już ustalona w zaciszu rządowego gabinetu. Być może elementem tych ustaleń jest to, aby postulaty polepszenia sytuacji mniejszości narodowych przedstawiał sam premier Butkevičius zamiast Tomaszewskiego - nielubianego przez szowinistycznie nastawioną litewską opinie publiczną.

Rząd zapowiada, iż ma powstać nowa ustawa o mniejszościach narodowych z uwzględnieniem Konwencji ramowej o ochronie mniejszości narodowych Rady Europy, którą to Konwencję Republika Litewska permanentnie narusza. Jednak poprzednie rządy również czyniły tego typu ogólne zapowiedzi, tylko po to by potem utwierdzać i rozwijać system dyskryminacji. Do 2010 roku istniała już ustawa o mniejszościach narodowych, tyle że nie była stosowana, bo dla litewskich sądów i urzędników ważniejsza była dyskryminacyjna ustawa o języku państwowym. Jak widać więc obalenia systemu dyskryminacji musi polegać nie tylko na uchwaleniu ustawy ale i realizacji jej ducha przez wszystkie agendy litewskiego państwa.

Zresztą w zapowiedziach nowego rządu mówi się głównie o problemie pisowni nazwisk i podwójnym nazewnictwie miejscowości. To ważne sprawy, ale przecież dobrze wiemy, że **najważniejsze są: kwestia oddania zagrabionej ziemi, która decyduje o pozycji ekonomicznej polskiej ludności oraz kwestia obrony polskiego szkolnictwa.** Jeszcze przed wyborami lider AWPL twierdził wprost, że dyskryminacyjną ustawę oświatową trzeba całkowicie zmienić. Obecnie nowy rząd deklaruje mocno jedynie odroczenie daty ujednoliconego egzaminu maturalnego z języka litewskiego dla wszystkich szkół. **A co z grożącym zamykaniem polskich szkół mechanizmem „optymalizacji"? Tutaj głosy nie są już tak wyraźne. A co z wciskaniem do nich litewskojęzycznego nauczania i propagandy? O tym nie mówi się już w ogóle.** Nawet jeśli Tomaszewski zawarł z Butkevičiusem cichy układ co do naszych postulatów narodowych, to realizacja tak głębokich działań, które mogłyby rozmontować litewski system dyskryminacji w sprawie oświaty i ziemi, bez uzyskania instytucjonalnego umocowania w postaci własnych ministrów, będzie trudna. Cóż – oby się udało, Waldemar Tomaszewski do tej pory był sprawnym politykiem, mamy nadzieję, że i w tej sytuacji będzie potrafił odnosić sukcesy. Pocieszające są słowa Edwarda Trusewicza, nominowanego na wiceministra kultury, który mówił wczoraj w Radiu Znad Wilii o całkowitym anulowaniu ustawy oświatowej. Popieram takie stawianie sprawy. Właśnie o to AWPL powinna walczyć.

Na razie za wcześnie aby oceniać polityków, których wysłaliśmy do parlamentu i rządu aby reprezentowali nasze prawa narodowe. **Ważne jednak aby ci politycy pamiętali, że właśnie dla ich obrony zostali tam wysłani.**

Jan Tarnawa

Wspólny wyjazd do Zułowa nauczył mnie jednej – niby oczywistej, choć często zapominanej – rzeczy. Polska jest niepodzielną, a nasz Naród - jeden ponad wszelkimi granicami.

Zułowo, gdzie istniał majątek, w którym narodził się Marszałek Piłsudski, to miejsce z wiadomych przyczyn symboliczne. Stamtąd też wyrastają nasze korzenie. Wiedzieli o tym nasi Przodkowie, którzy w osobie Prezydenta Mościckiego posadzili dąb w miejscu narodzin Marszałka w 1937 roku. Stoi on do dziś i rośnie ku górze, wyrastając nad krajobrazy naszych rodzinnych stron.

Gdy zbieraliśmy się rano na dworcu, wcale nie panowała poważna atmosfera, związana z miejscem tak szczególnym. Wszyscy byli w wesołych nastrojach, jakby nie zdając sobie sprawy z powagi miejsca, doktórego się udajemy. Ale było to wrażenie mylne.

Od samego początku, gdy planowaliśmy wyjazd do Zułowa, każdy wiedział, że wyjeżdżamy nie do pierwszego lepszego miejsca, a do dawnego dworu, w którym urodził się Marszałek Polski. Dla wszystkich było to tak oczywiste, że nie trzeba było nikomu tłumaczyć ani sensu tej podróży, ani historycznych odniesień związanych z Zułowem. Kiedy trzeba było, każdy zachowywał powagę. Gdy poświęcaliśmy czas na coś innego, np. żeby posiedzieć w okolicznej knajpie w nieodległym Podbrodziu, to buzie nam się nie zamykały, a uśmiechy nie schodziły z naszych twarzy. Zrozumiałem, że wcale się to wszystko ze sobą nie kłóci, że takie nagłe zmiany w naszym zachowaniu - z poważnego na zupełnie luźne - to nic dziwnego. **Bo szczęśliwy człowiek to ten, który spełnia uczciwie swoje obowiązki najwyższego rzędu – w tym obowiązki polskie – co pozwala mu na pełne korzystanie z uroków zwykłego obcowania z ludźmi.** Raz możemy być poważni i oddać hołd w miejscu narodzin Marszałka, żeby zaraz potem – nie zapominając o tym, co nas tam przywiodło – rozmawiać o bardziej przyziemnych sprawach. Jestem pewien, że takiego fundamentu potrzebuje każdy z nas tutaj, na Wilenszczyźnie, ale nie tylko tutaj. Bo ten fundament to coś, co jest dla nas wspólne i co pozwala lepiej rozumieć się też w bardziej codziennych sprawach, gdzie razem można się pośmiać, wyjść na piwo, porozmawiać o zwykłych rzeczach jak szkoła, praca, uczelnia. Takie szukanie korzeni ma też po prostu swoje praktyczne korzyści, bo chyba łatwiej dogadać się ludziom, którzy wiedzą, że łączy ich coś bardzo ważnego, prawda?

Z przyjemnością zaznaczam, że w wyjeździe uczestniczyła dwójka Koroniarzy, „z Polski" – jak to lubią mówić niektórzy. My w Zułowie zresztą wcale nie czuliśmy, że jesteśmy „spoza Polski", a wręcz przeciwnie. I to nie dlatego, że zarówno dla miejscowych, jak i Koroniarzy, Marszałek Piłsudski to równie ważna postać, a jego dziedzictwo jest dla nas wspólne. Po prostu zauważyłem, że mimo wielu różnic są pewne obszary, które nas z Koroniarzami łączą – podstawowym jest przynależność do polskiej kultury i świadomość przynależności do jednej rodziny polskiej - co wcale nie jest bez znaczenia. To pozwalało nam w podobny sposób żartować, śmiać się z podobnych rzeczy, opowiadać sobie nawzajem równie ciekawe dla wszystkich historie, a nawet w tak miłej atmosferze zaplanować kolejny wyjazd.

Nie widzę więc powodów, by rozróżnienie na Polaków „z Polski" i Polaków „na Litwie" miało sens w kontaktach międzyludzkich, a także wtedy, gdy mówimy o nas wszystkich jako narodzie. Można mówić o tym wtedy, gdy uwzględnia się granice i podziały polityczne. Ale my, ponieważ polityką się nie zajmujemy, nie będziemy się na nie oglądać. **Dla nas – i pod dębem Marszałka w Zułowie, i na co dzień, gdziekolwiek byśmy byli – jesteśmy po prostu jedną wielką rodziną, jesteśmy narodem, jesteśmy Polakami.**

Tutejszy - czyli Polak

Rzut oka na dzisiejsze Wilno, a raczej dłuższa jego obserwacja, przywodzi na myśl wiele wniosków. I niestety nie są to wnioski pozytywne, szczególnie dla Litwinów.

Wilno zgodnie z podsuniętą jeszcze w XIX wieku Jonasowi Basanowiczowi i jego komradom koncepcją Litwy miało stać się stolicą bałtyckiego państwa, państwa etnicznych Bałtów, państwa o jednoznacznym obliczu kulturowym i etnicznym. Ta koncepcja jest do dziś żywa w kręgach politycznych i innych, które są tutaj elitami w różnych dziedzinach życia. Czasami wydaje się, że w tej nadrzędnej idei postawiono dosłownie wszystko na jedną kartę. Tylko kto na tym korzysta?

Wydawałoby się, że korzystają właśnie Bałtowie, którym Niemcy w 1918 sprezentowali na odchodne państwo - nic, tylko korzystać. Tak samo przecież można było brać garściami terytorium, które sowiety przekazały bałtyckiej republice w 1920. Zawsze można było wziąć poprawkę na to, że siły te wcale nie są przyjazne wobec bałtyckiego ludu, ale mimo wszystko korzystać z sytuacji i nie wzgardzać oferowanym terytorium czy też stworzonymi tam głównie przez siły trzecie instytucjami politycznymi i państwowymi (z samą Tarybą na czele). I tak w gruncie rzeczy było. Problem w tym, że owe siły trzecie wcale nie sprzyjały faktorowi bałtyckiemu i wcale go bezinteresownie nie wspierały.

I tu jest – jak to się mówi – pies pogrzebany. Czy zdawano sobie w ogóle sprawę z tego, że ani bolszewicy, ani Niemcy, wcale nie dążyli do zachowania kultury litewskiej i nie to było ich celem? Rządy

Taryby i ich następcy jednak poszli na całość – wzięli „za dobrą monetę" wszystkie terytoria od bolszewików w 1920, zawarli z Rosją bolszewicką traktat, a nawet przepuścili ich wojska w drodze na Warszawę… A wszystko po to, żeby zagarnąć Wilno – co jeszcze z punktu widzenia ideologii Basanowicziusa (eks-Basanowicza) miałoby sens – ale też Grodno (Litwinów spełniających kryteria ideologii Basanowicza było tam 4 - słownie czterech), Suwałki, Augustów (tak, tak) i inne miasta z ludnością polską, polsko-żydowską lub żydowsko-polską. Wilno rzeczywiście traktat bolszewicko-litewski przyznawał Litwie i z tego powodu jego późniejszą przynależność do II RP Litwini uznawali i uznają do dziś za okupację. Tak samo „okupowane" jest wg nich przez międzywojenną Polskę Grodno, Lida czy Oszmiana, ale i wspomniane Suwałki czy Sejny. Podstawa prawna to wspomniany traktat z bolszewikami, bo o etnicznych czy historycznych podstawach takich pretensji nie może być dla zdrowego na duchu i umyśle człowieka mowy. Legalnymi dyspozytorami kwestii tych terytoriów uznali spadkobiercy Basanowicza właśnie bolszewików. Czyli tych, którzy unicestwiliby Litwę i bałtycki naród – wraz z jego kulturą – zaraz po przejściu ze światową rewolucją „po trupie Polski" w 1920. Myślę, że dla czerwonej nawały nie stanowiłoby to wtedy większego problemu. Zresztą, Taryba nie zdążyła jeszcze porządzić na tyle długo, by zaszczepić społeczeństwu ideologię Basanowicza, która później mogłaby ewentualnie zmobilizować je choćby do symbolicznego czynu zbrojnego przeciw Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej po uprzednim upadku Warszawy. **Litwa wzięła Wilno, Grodno i inne miasta w pakiecie z nadchodzącą bolszewicką okupacją i prawdopodobnie fizyczną likwidacją bałtyckiego ludu.** Jeśli by ciągnąć temat dalej, to Piłsudski i Rozwadowski powinni mieć w każdym mieście Litwy pomnik, ponieważ w 1920 interesy poczciwego bałtyckiego ludu i Taryby wraz z jej ideologią po prostu się rozeszły. **Okazało się, że Polacy (w tym również osoby uznające się za Litwinów, jak Piłsudski na przykład) potrafią lepiej bronić interesów Litwinów, ich kultury i języka, niż wydelegowane do tego rządy Taryby.**

Niedawno premier Kubilius powiedział, komentując wejście AWPL do koalicji rządowej, że ma nadzieję, iż na tym „nie ucierpi kulturowe i etniczne dziedzictwo Litwy". Cokolwiek oznacza pojęcie „etnicznego dziedzictwa", to mało kto zauważył, że cierpi ono nie dlatego, że ktokolwiek domaga się tabliczek z nazwami ulic czy nawet prywatnych sklepów, autobusów itd. w swoim ojczystym języku na ziemi zamieszkanej przez swoich przodków, ale dlatego właśnie, że sprawy te – aby broń Boże nie było żadnych nielitewskich nazw (OBOK litewskich, a nie zamiast!) – nadal są jakby absolutnie i ponad wszystko priorytetowe. Eks-premier nie zauważył, że „etniczne dziedzictwo Litwy" cierpi dużo bardziej na tym, że wzrasta bezrobocie, a emigracja – szczególnie wśród młodych – jest stałym zjawiskiem, zaś wciąż dużym problemem społecznym jest alkoholizm i wysoki odsetek samobójstw. **Nasze miasto zaś – z polskimi nazwami ulic czy bez – wciąż wygląda jak za głębokich sowietów.** Nie trzeba chyba dodawać, że władze państwowe nie starają się za bardzo, by znacząca część obywateli chciała żyć i pracować dla swojego państwa, gdyż nadal muszą dopominać się o podstawowe prawa jak wspomniane nazwy ulic czy obiektów publicznego użytku, ponadto państwo nadal nie gwarantuje im oryginalnego zapisu nazwiska w dokumentach – gdzie znajduje się przecież godło tego państwa, którego obywatelami się rodzili. Może komuś po prostu nie zależy na tych obywatelach – mimo że płacą tu podatki, pracują i żyją. Jeśli to ma uratować „etniczne dziedzictwo Litwy", to przynajmniej jednego nie można decydentom odmówić - konsekwencji. Sprawy te od dwudziestu paru lat nie są rozwiązane, ale najwyraźniej w „etnicznym dziedzictwie Litwy" nie ma miejsca na nie-Bałtów. Jest to być może logiczne, tak jak logiczna była potrzeba utworzenia w Wilnie stolicy państwa litewskiego - nawet jeśli trzeba by było je otrzymać od tych, którzy lada chwila zlikwidowaliby całą tę młodą państwowość i naród.

Problem w tym, że problemy społeczne nie są ograniczone przez narodowość ludzi. One po prostu występują w określonych obiektywnych warunkach, nie ważąc na to, czy ktoś mieści się w „etnicznym dziedzictwie Litwy" czy też nie. Dlatego problem emigracji i rozbijanych w jej wyniku rodzin dotyka wszystkich, alkoholizm dotyka wszystkich, wśród spękanych i sypiących się budynków czy ulic chodzą wszyscy. Nawiasem mówiąc: relatywnie najlepiej trzyma się tu bruk wyłożony czasach „polskiej okupacji", tymczasem zupełnie lewą kostką wyłożono chociażby aleję Giedymina, która nie wytrzyma nawet ułamka tego, co przeszły ulice brukowane za czasów polskich, co oznacza z kolei wyrzucenie w błoto 10 mln litów przeznaczonych na ten cel z budżetu miasta. Można mieć wrażenie, że najważniejszą rzeczą jest chyba tylko to, by ulica nie nazywała się 'zbyt obco', by odpowiadała „etnicznemu dziedzictwu Litwy", a całą reszta to sprawy drugo- czy trzeciorzędne. Można niekiedy wyremontować jakiś budynek od strony fasady, chyba że jest to gmach, gdzie zawiesi się trójkolorowy

sztandar (wymyślony kiedyś przez Basanowicziusa i jego współpracowników, mający więcej wspólnego z barwami wielu państw afrykańskich niż z jakąkolwiek miejscową tradycją historyczną), to wtedy kompleksowy remont obejmuje całość budynku. Niemniej, cała reszta zasługuje co najwyżej na remont fasadowy. Wydaje się czasami, że jedynym ratunkiem dla 'etnicznie litewskich budynków' byłoby umieszczenie w każdym z nich jakiegoś urzędu państwowego (np. do spraw Walki z Kontrrew… tzn. z Nielitewską Spuścizną na Etnicznym Terytorium Państwowym – to taka luźna propozycja)…

Rządy ideologicznych Litwinów, które zawładnęły duszą Bałtów – w czym pomogło istnienie nacjonalistycznego państwa utrzymywanego przez całe dwudziestolecie międzywojenne w pełnej gotowości do odzyskania otrzymanego od bolszewików (tak, tak) Wilna – wprawdzie doprowadziły do osiągnięcia strategicznego celu, jakim było ustanowienie w tym mieście stolicy, ale kosztowało to ogrom krwi samych Bałtów. Ogrom krwi - przypomnijmy - przelanej w imię ustanowienia na kilka miesięcy stolicy w mieście, gdzie nikt po litewsku wówczas nie mówił i to krwi przelanej przez tych samych, którzy w 1920 równie ochoczo i z równie dobrymi zamiarami oddali to samo miasto praktykom ideologii Basanowicza. Czy było warto? Może i było, ale przecież nikt na Kremlu nie zakładał ani w 1920, ani w 1939, że niepodległa Litwa będzie miała w ogóle jakąkolwiek podmiotowość (nie zakładał tego nawet sam Basanowicz-ius: *„Tylko na ziemi litewskiej i w niepodzielnym związku z potężnym państwem rosyjskim możliwe jest odrodzenie się Litwy i jej dalszy rozwój.",* 1883). W 1920 uratowali ją Polacy, w 1940 Polaków i polskiego państwa zabrakło i… wszyscy wiemy, że finał tego był tragiczny, koszmar rządów komunistycznych trwał kilkadziesiąt lat, o czym świadczy rozjechanie czołgami protestów pod wieżą telewizyjną i śmierć 14 niewinnych osób w 1991.

Litewski język i kultura raczej nie są mi obce – sprawia mi niemałą przyjemność korzystanie z języka litewskiego, bo zawsze jest to dodatkowa umiejętność, a poza tym jest to mowa, co by nie mówić, unikalna, bo jedyna na świecie obok łotewskiego mowa pochodzenia bałtyckiego, która jest jeszcze językiem żywym. Interesuje mnie chociażby kultura Litwinów pruskich (czy wiecie, że jednym z określeń, jakie stosowali oni wobec Litwinów z tzw. Litwy Wielkiej było 'Lenkai' - Polacy?), chociaż oni sami nie kupili ideologii Basanowicza i mimo zachowania języka litewskiego choćby wokół samej Kłajpedy (wtedy miasta czysto niemieckiego) czy Szyłokarczmy (które załatwili Litwinom na konferencji w Wersalu polscy negocjatorzy - Dmowski i Paderewski, forsując ideę przeprowadzania północnej granicy Prus Wschodnich na Niemnie: wróćmy tu do sprawy, komu naprawdę należą się na Litwie pomniki) uznawali się za członków niemieckiego kręgu kulturowego. Język litewski pozwala na czytanie w oryginale źródeł i książek, bo chociażby po polsku nie ukazało się zbyt wiele na ich temat. Jesteśmy zwolennikami zachowania kultury i języka litewskiego, bo same w sobie stanowią wartość dla ludzkości i światowego dziedzictwa. Tylko że nie dla wszystkich jest to takie oczywiste.

Dziś nad Wilnem powiewa flaga Basanowicza i jest to z punktu widzenia tej akurat ideologii sukces, bez względu na cenę, jaką przyszło zapłacić za ten godny odnotowania i mający swoje określone skutki fakt. Można wręcz pokusić się o stwierdzenie, że uratowano w ten sposób „etniczne dziedzictwo Litwy", chociaż gra *va banque*, gdzie stawką było samo fizyczne istnienie narodu litewskiego, była cokolwiek ryzykowna ze strony basanowiczowców. Niemniej, udało się. Można nawet podziwiać trójkolorowy sztandar z bliska, dojeżdżając kolejką elektryczną na Górę Giedymina.

Pod i wokół Góry Giedymina, na której stoją pozostałości murowanego zamku zbudowanego już przez Polaków po lokacji miasta, toczy się jednak normalne życie. Spod trójkolorowej wyjeżdżają za granicę etniczni Litwini i raczej nie planują wrócić. Pod trójkolorową kwitnie korupcja, niejasne dla zwykłego obywatela polityczne gry, w której stawką może być wszystko, tylko nie dobro obywateli. Na kraju ciążą społeczne problemy i cały bagaż sowieckiego dziedzictwa, który jest wszakże ceną za powiewanie trójkolorowej nad miastem.

Gdy kolejne rządy w ramach obecnego reżimu politycznego nie różnią się od siebie za bardzo, gdzie jedynym możliwym do zauważenia priorytetem (i wspólnym mianownikiem wszystkich oficjalnie stroniących od siebie ekip) jest to, żeby „etniczne dziedzictwo Litwy" pozostało niewzruszonym fundamentem republiki, kraj jednocześnie się wyludnia i staje się powoli miejscem, gdzie coraz trudniej znaleźć perspektywy na stabilizację i normalny byt. Takim miejscem jest szczególnie Wilenszczyzna,

gdzie nie zadbano nawet o to, bo prawowici gospodarze odzyskali swoje majątki, które przecież jako ojcowizna byłyby lepiej zagospodarowane niż miałyby leżeć odłogiem. Kiedyś odwiedzając Litwę wyszydził ten stan rzeczy niejaki Aleksander Łukaszenko, który wszak o gospodarowaniu ziemią ma chyba niemałe pojęcie, bo pełnił funkcję dyrektora kołchozu.

Po raz kolejny można mieć wrażenie, że Litwa idzie na pełne zatracenie – tym razem nie w wyniku zawieruch wojennych czy okupacji (okupacji urojonych bądź prawdziwych), ale w wyniku własnych suwerennych decyzji i wyznaczenia określonych priorytetów, z walką z literami „w", „sz" i „cz" (dwie z nich ma wyryte na swojej grobowej inskrypcji nie kto inny jak Basanowiczius) na czele. W wyniku sprawiedliwości dziejowej – jak powiedział to wybitny i przyjmowany z honorami w Polsce litewski pisarz Tomas Venclova (urodzony w Kłajpedzie jako syn nauczyciela skierowanego tam do pracy – co bez działań polskiej delegacji w Wersalu nie byłoby możliwe) – Wilno zostało stolicą Republiki Litewskiej. Być może dla tego faktu warto było ryzykować istnienie bałtyckiego ludu z niezwykle oryginalnym językiem i unikalną kulturą, w końcu zarówno Basanowiczius, jak i Antanas Smetona – głowa tamtego państwa – mają dziś w Wilnie swoje ulice. Dziś w zasadzie nie wiadomo, w imię czego Litwa dąży do samounicestwienia. Słowa premiera Kubiliusa o zachowaniu „etnicznego dziedzictwa Litwy" trudno traktować w tym momencie poważnie i wiarygodnie, gdyż procesy zachodzące na Litwie szczególnie pod jego rządami świadczą o tym, że dzieje się wręcz odwrotnie i robiono najwyraźniej wszystko, żeby temu nie zapobiegać.

Skoro brak motywu przewodniego i głównej idei, dla której trójkolorowy sztandar powiewałby nad Wilnem, to ostatecznie pozostaje rozprawienie się z jakimkolwiek – urojonym bądź prawdziwym – wrogiem wewnętrznym. Wrogiem, który zagrażałby „etnicznemu dziedzictwu Litwy", bo przecież klasa rządząca nie przyzna się przed nikim – w tym przed samą sobą – że sama temu „dziedzictwu" zagraża. Można z tym wrogiem walczyć, można nawet zaangażować w to środki i propagandę państwową, na krótszą metę można zmobilizować do tego rząd dusz. Można nawet utworzyć kolejne urzędy i pod tym pretekstem wybudować kolejny drapacz chmur na Śnipiszkach bądź wyremontować – najpewniej z udziałem afer korupcyjnych w obydwu przypadkach - jakąś ładną kamienicę na Giedymina/Smetony/Basanowicziusa i zatknąć nań trójkolorową. Tylko co z tego przyjdzie samym Litwinom?

Patejko

Jeszcze marka czy już lit? Pieniądze emitowane w 1918 przez niemiecką władzę okupacyjną w mieście wymienionym jako "Kowno"

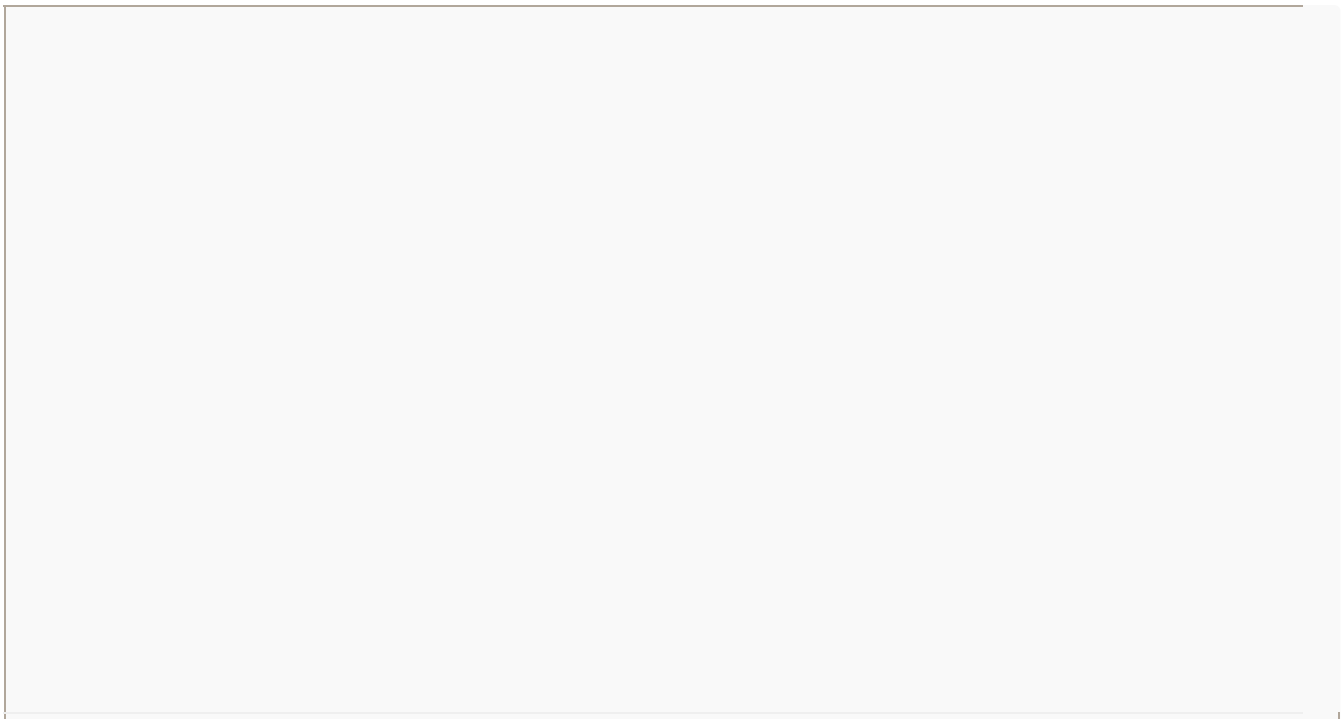

Jeszcze marka czy już lit? Pieniądze emitowane w 1918 przez niemiecką władzę okupacyjną na tzw. Litwie Kowieńskiej z litewskimi, żmudzkimi i niemieckimi napisami.

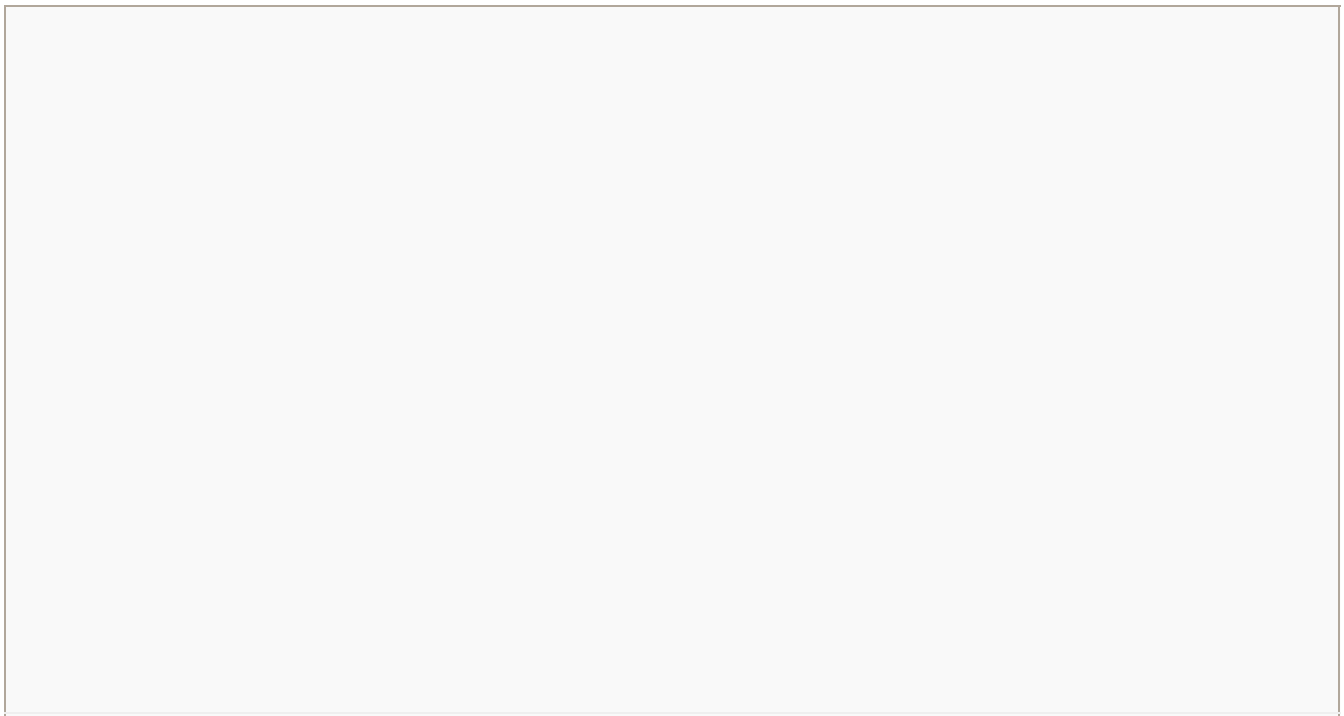

Etnicznie litewski - choć trochę sypiący się - budynek w centrum Wilna. Najważniejsze jednak, że oczyszczony z nieprawych elementów.

11 listopada wraz z Przyjaciółmi udaliśmy się na Rossę na grób matki i serca Marszałka Piłsudskiego, aby uczcić wraz ze społecznością polską Święto Niepodległości Polski. Miejsce nie tylko symboliczne, ale także, jak się okazuje, niezwykle integrujące Polaków mieszkających na Wilenszczyźnie i w całej Polsce. Wśród kilku setek ludzi, w morzu biało-czerwonych flag, szalików, proporców, widać było cały przekrój naszego kraju, gdzie obok Żołnierzy Armii Krajowej - walczących o Ziemię Wileńską wolną od wszystkich okupantów – stali również ludzie w naszym wieku, którzy zdominowali swoją obecnością obchody.

Na same uroczystości dotarłem standardową trasą, jaką pokonuję z miejsca zamieszkania do śródmieścia, zaś stamtąd piechotą udałem się na tę niezwykłą, choć położoną na uboczu (i może właśnie dlatego tak urokliwą), dzielnicę Wilna, jaką jest Rossa. Zanim doświadczyłem przeżyć związanych ze

zbiorowym uczestnictwem w naszym wspólnym Święcie, przedrzeć musiałem się przez miasto-widmo, miasto, które wiecznie śpi i nigdy się nie przebudziło, bo nadal jest tylko urojeniem, które na jawie nigdy nie zaistniało. Żeby dotrzeć do Wilna – miasta z Sercem (gdzie serce zostawił nie tylko Marszałek) i Duszą – musiałem przedrzeć się przez Vilnius. **W tym dniu też zdałem sobie sprawę, do czego mi na co dzień tęskno. Nie tylko do zbiorowych uniesień, ale też do pewnej przestrzeni – do Miejsca, gdzie wszyscy się spotykamy, realnego Miejsca, które istnieje i które nas łączy.** Takim Miejscem była spowita na biało-czerwono Rossa tego dnia. Nie byłoby tych pisanych tutaj słów bez tego Miasta, które daje natchnienie i pozwala żyć. 11 listopada był tylko i aż domknięciem tego, co daje mi Wilno, moje ukochane miejsce na ziemi.

Przyniesiony przez wileńską patriotyczną młodzież wieniec był jednym z wielu, który złożono u grobu Matki Serca i Syna, swoje wieńce złożyli harcerze – pełniący jednocześnie wartę honorową przy płycie nagrobnej z czarnego wołyńskiego granitu, a także zwykli mieszkańcy naszej ziemi. **Razem z nimi wszystkimi czuliśmy wspólnotę, jakiej tu na co dzień nam wszystkim bardzo – jak widać – brakuje. Tak wysoko frekwencja nie była przypadkowa. Wszyscy, co dało się zauważyć, tęsknimy do prawdziwego Wilna.**

Po uroczystościach pojechaliśmy całą grupą na śródmieście – uśmiechnięci, zadowoleni, wciąż w biało-czerwonych barwach: chłopcy i dziewczęta, uczniowie i studenci, ale wszyscy spragnieni możliwości otwartego pokazywania, co się nosi w sobie – i to obcowanie ze sobą w grupie było najlepszą ku temu okazją. Na sam koniec wybraliśmy się do jednego z lokali na Niemieckiej, gdzie wciąż otwarcie i w swoim ojczystym języku rozmawialiśmy o mniej lub bardziej poważnych tematach, nawet z przewagą tych pierwszych ;-)

Teraz już wiem, że tego dnia duch radosnego i autentycznego Wilna przeszczepiliśmy na grunt, który od dawna tego ducha nie zaznał. Duch Miasta, które istnieje i chce istnieć. Duch naszego Wilna.

Wilniuk

Wczoraj minęła 73. rocznica zajęcia Wilna przez wojska Republiki litewskiej. W tym roku chyba bardziej niż zwykle zacząłem się zastanawiać, co to wydarzenie właściwie dla mnie znaczy, bo przecież jego skutki – w tym dla mnie osobiście – trudno przecenić.

Do dziś duch 28 października 1939 roku unosi się nad moim miastem i nie daje o sobie niestety zapomnieć. Niektórzy z nas już do niego przywykli, a niektórzy już nawet nie wyobrażają sobie innej rzeczywistości niż ta, którą zaprowadzono tego pamiętnego dla wielu jeszcze rodowitych mieszkańców

Wilenszczyzny dnia. Ci pierwsi, urodzeni pod powiewającą na Górze Zamkowej trójkolorową flagą państwa, którego staliśmy się obywatelami, innej rzeczywistości nie znają. Nie pomylę się chyba, jeśli napiszę, że w Macierzy też nie jest to rocznica, której poświęca się wiele uwagi. Ale obym się w tym wypadku mylił, bo przecież Polska – nasza Macierz – w tym właśnie dniu została ograbiona z jednego ze swoich kulturowo-historycznych centrów.

W szkolnych programach historii i w oficjalnej propagandzie państwa, w którym dziś żyjemy, dzień ten przedstawia się jako wyzwolenie, oswobodzenie „prastarej litewskiej stolicy" z rąk Polaków. Nic to, że w przypadku „wyzwolenia", o którym lubią przedstawiciele przybyłej tu w 1939 narodowości mówić, musi zaistnieć podstawowy faktor, jakim jest z kolei wcześniejsze zniewolenie ludności. **Popytajcie swoich dziadków, drogie Przyjaciółki i Przyjaciele, może oni pamiętają te czasy – czy czuli się tutaj „okupowani" przez Polskę i czy czekali przez dwudziestolecie międzywojenne na przybycie „wyzwolicieli" spod trójkolorowej flagi. Spytajcie, do jakiego kraju chcieli należeć Wasi przodkowie.** Mi się zawsze wydawało, że wyzwolenie przyszło tutaj w 1920 roku, kiedy to synowie tej ziemi, nasi rodacy, wrócili tutaj do siebie. Jesteśmy u siebie – oni wzięli sobie to hasło do serca. Tak samo do serca wzięli sobie to hasło moi dziadkowie, którzy w 1944 walczyli o Wilno w polskich granicach i o przekreślenie rezultatów złowrogiego paktu Ribbentrop-Mołotow.

Nie udało się i po wojnie Wilno - wyrokiem wielkich mocarstw świata – tak jak stało się to w 1939 – ponownie znalazło się w granicach Litwy, tylko że już sowieckiej. Państwo, z którym chyba żaden mieszkaniec nie identyfikował się tutaj w 1939, pozostało tu również po przekreśleniu wyników paktu sowiecko-niemieckiego, który przewidywał Wilno dla litewskiej republiki. Po prawie 50 latach sowieckiego reżimu przestaliśmy mieć argumenty natury etnicznej, bo wszyscy kolejni okupanci – Sowieci, Litwini, znów Sowieci, Niemcy i ich kolaboranci litewscy i na koniec po raz trzeci Sowieci przetrzebili nas masowymi mordami, łapankami i wywózkami. Dla nich wszystkich na swojej ojczystej ziemi byliśmy intruzami.

Jako pierwsi zaczęliśmy przeszkadzać już samym swoim istnieniem okupantom litewskim, gdy na 8 miesięcy dostali Wilno od Sowietów. Miejscowy Uniwersytet został zamknięty, a profesorów uczelni wyrzucono z ich pracowniczych mieszkań w środku zimy, szkoły powszechne i urzędy miały się natychmiast przestawić na nieznany wtedy prawie nikomu język. Wszystkie nazwy ulic zostały zlituanizowane tak starannie, że żadna przedwojenna tabliczka z polską nazwą ulicy nie zachowała się w Wilnie. A to wszystko w ramach „wyzwalania"…

Chciałoby się nie żyć przeszłością, a historią zajmować się tak, by nie wywoływała emocji. Tylko do dziś w dokumentach Republiki litewskiej nie można napisać swojego nazwiska po polsku w oryginale, nie wróciły do Wilna tabliczki z nazwami ulic w języku polskim, a przecież mimo wszystko zostało nas tu na tyle dużo, że się nam to po prostu należy i to nie tylko dlatego, że to zwyczajny europejski standard w państwach uznających się za cywilizowane.

W październiku 1939 okupacyjne władze nie dały miejscowej ludności zbyt wielu możliwości – albo można było pozostać lojalnym wobec swojego narodu, albo można było zostać zaakceptowanym przez Republikę litewską jako jej obywatel, gdy porzuciło się poczucie bycia Polakiem. **Wiemy wszyscy, że w tym trudnym okresie Polacy zdali egzamin z przywiązania do swej tożsamości wzorowo. Dziś, gdy wiele rzeczy zostało tutaj tak jak je urządzono w październiku 1939, można się zastanawiać, czy znów nie stawia się przed nami tego samego wyboru.** A Ty – jak wybierzesz?

Marcin, Antokol